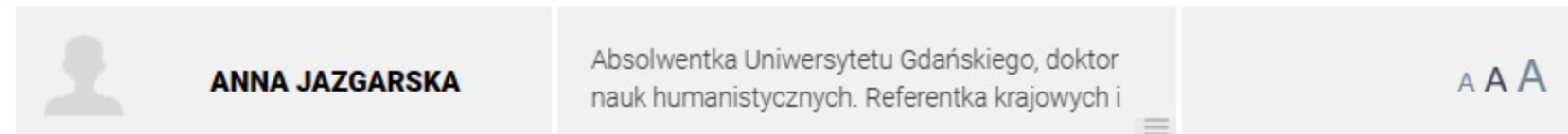


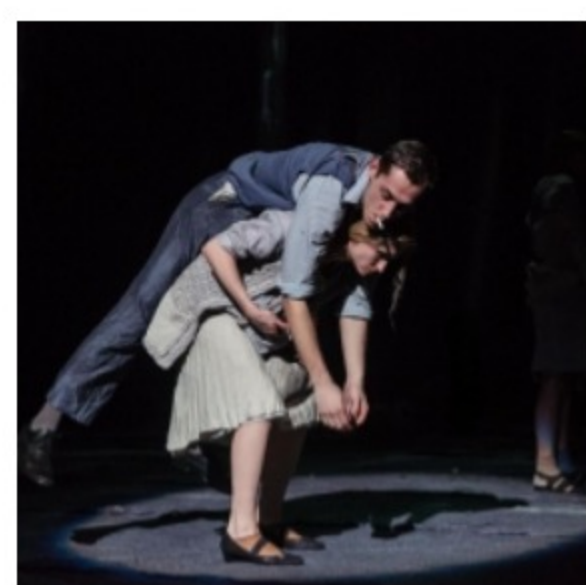
## Złowieni

Czyż nie dobją się koni?, rez. Wojciech Kościelniak, Teatr Wybrzeże w Gdańsku

**ANNA JAZGARSKA**

Absolwentka Uniwersytetu Gdańskiego, doktor nauk humanistycznych. Referentka krajowych i

A A A



**W Czyż nie dobją się koni? Horace McCoy umieszcza swoich bohaterów w podrzędnym lokalu przy moło w Santa Monica. W kalifornijskiej rajskej przestrzeni gromada desperatów – uchodźców ze spłądrowanych przez „dustery” Wielkich Równin i ofiar Wielkiego Kryzysu – wielogodzinnym, nieprzerwanym tańcem składa ofiarę mitycznemu *American dream*.**

W przedstawieniu Wojciecha Kościelniaka, najnowszej adaptacji powieści McCoya, przestrzeń zdewastowanej tancbudy z zachodem kalifornijskiego słońca w tle została groteskowo sparafrazowana w imponującej scenografii Damiana Styryna. Scena, z wykorzystaną całą jej głębią, przywodzi na myśl podwodne dno. Ale to najpodlejszego rodzaju, najbliższej brzegu, z zatopionymi w piachu starymi skrzynkami i odrapanymi żerdziami nadmorskiego moło. Szyderczym znakiem „rozrywkowego” przeznaczenia tej przestrzeni jest ustawiony w głębi sceny podest dla orkiestry z zaśniedziałymi instrumentami (na których nikt tu nigdy nie zagra), zwieńczony linią świecących niemrawo, częścioowo przepalonych żarówek. I tylko wielka ryba pojawiająca się od czasu do czasu, „pływająca” swobodnie nad sceną i widownią, ironicznie przypomina, że gdzieś istnieje świat inny niż to podwodne cmentarzysko.

Na balkonach z boków sceny Styryna umieścił podświetlane reklamy kinowe z lat 30. ubiegłego wieku – wizualizacje marzeń Roberta (Piotr Witkowski), głównego bohatera spektaklu, młodego chłopaka z ambicjami reżyserskimi, który bezskutecznie stara się o wejściówkę do Fabryki Snów. Drzwi do hollywoodzkiej krainy pozostają niezmiennie zamknięte również i przed Głorią (Katarzyna Dalek), arogancką, niechlujną, jedną z tysięcy bliźniaczko do siebie podobnych ofiar *Dirty Thirties*. Przypadkowe spotkanie obojga skutkuje decyzją o starcie w tanecznym maratonie, dziwacznej odmianie zawodów wytrzymałościowych, na punkcie których zdruzgotana ekonomiczną katastrofą Ameryka miała wówczas obsesję.

Po krótkiej ekspozycji głównych bohaterów Wojciech Kościelniak wprowadza nas w sam środek trwających już od wielu godzin zawodów. Leżące dotąd po bokach sceny ledwie zauważalne ciała ożywają i zbolalym krokiem wychodzą na jej środek. Maraton oglądamy z perspektywy opowieści Roberta, wszystkie wydarzenia z tanecznej areny są reminiscencją przepuszczoną przez pryzmat jego wyobraźni, która nadaje im kształt koszmaru, mającej wespółzrotnego ciała.

Nadrzędną cechą zbudowanej przez Kościelniaka scenicznej rzeczywistości jest egzystencjalny stupor, zobrazowany przejmująco somnambulicznym, kalekim (nie)tańcem uczestników maratonu. Pary, których podmiotowość sprowadzona jest do roli wypisanego na plecach numeru, drepczą niemrawo i za wszelką cenę starają utrzymać się na zakurzonych arenie. Półprzymknięte powieki, powłóczące, łamiące się nogi, konwulsje i tuszowane przez partnera omdlenia składają się na obraz umęczonego zbiorowego organizmu. Poszczególne sceny przedstawienia pokazują, że na marginesie potyczki o plik dolarów rozgrywa się inna, paradoksalna u swoich podstaw walka – zmagania człowieczeństwa z prymarnymi dlań potrzebami wolności i godności, ze skrajną, upiorną wersją konformizmu, deprecjonującą i odbierającą podmiotowość. Tę walkę reżyser zamyka w szeregu znakomicie zainscenizowanych obrazów, budzących grozę, obrzydzenie, niezwykle poruszających.

Pierwszą sceną wyraźnie określającą miejsce maratończyków w tym zdewastowanym świecie jest ta, w której wodził Rocky (Grzegorz Gzyl) zdziera ze struchlałej tancerki sukienkę i wulgarnie wyciera nią pachy, krocze, buty. Bo start w maratonie oznacza tu zgodę na przeczołganie ciała i duszy przez wszystkie kręgi piekielne. Takich „testów sprawnościowych” jest więcej, mają charakter „indywidualny”, jak wielokrotnie gwałty na blondwłosej Lillian (Magdalena Boć), oraz „grupowy” – jak wieczorne wyścigi wokół tanecznej areny. Instynkt przetrwania projektuje różne sposoby na istnienie, niemal zawsze mają one formę próby nawiazania, mniej lub bardziej wynaturzonej, relacji z drugim. W tym świecie nie ma możliwości przetrwania w pojedynkę. Uczestnik maratonu, który stracił partnera, może tańczyć solo jedynie przez dobę – ta niezmienna, podstawowa dla konkursu reguła przekłada fundamentalną zasadę bycia. Głorię na powierzchni życia utrzymuje gniew, wykrzyczany i wypluty wielokrotnie w twarze innych. Dla rudowłosej, niewinnej Rosemary (Katarzyna Kaźmierczak) sposobem na przeżycie jest anonimowy, mechaniczny seks. Utrzymany w horrorowej stylistyce fragment uwodzenia Roberta, w którym kobieta przetacza się przez scenę, dublując bez końca gest ściągnięcia majtek, pokazuje Rosemary jako przedstawiciela nowego gatunku, wykłutego gdzieś na rubieżach postapokaliptycznego świata, krzyżówki naiwnego dziecka i opętanego drapieźnika.

Symbol kręcącej się karuzeli, o której wielokrotnie mówią bohaterowie, powtarzające się regularnie jak w teście Pawłowa i zaganiające uczestników do tańca buczenie syreny – schorowany, zmurszały świat z przedstawienia Kościelniaka preraża niezmiennością, której fabularnym ekwiwalentem jest wąż ciężarnej Ruby (Justyna Bartoszewicz) i Jamesa (Marcin Miodek), tanecznych recydywistów, manekinów, którzy zdają się istnieć już tylko po to, by tańczyć. Tę niezmienną pieczętują figury prawie zawsze nieruchomych, ulokowanych na przeciwnych krańcach sceny kobiet. Drzemiącej z tacą owocowych cząstek na bezwładnych kolanach Pielęgniarki (Małgorzata Oracz) i Pani Layden (Maria Mielnikow-Krawczyk), najwierniejszej, przychodzącej do tancbudy co wieczór fanki maratonu. Pojawiające się zniecka niespodzianki – prezenty od sponsorów czy zaimprovizowany naprędcę ślub przypadkowej pary – są niczym ponury żart demiurgów, wyjątek chichocząco potwierdzający niezmienny, zastygły porządek.

Wojciech Kościelniak to przede wszystkim twórca teatru muzycznego, najczęściej wychodzącego poza granice gatunkowe i konwencje, ale jednak utrzymanego w głównym nurcie. *Czyż nie dobją się koni?* można w pewnym sensie potraktować jako sposób ironicznego wyjścia poza reżyserskie emploi Kościelniaka. To spektakl dramatyczny, ale będący jednocześnie czymś na kształt „antymusicalu”, w którym najbardziej dramatyczne momenty zamykane są w ramach monotonnego (nie)tańca, bezgłośnego łkania, zamierającego w krtani wrzasku. Świetna muzyka Piotra Dziubka i równie znakomity, nieoczywisty formalnie ruch w reżyserii Jarosława Stańki budują dziwaczne, niepokojące kształty muzyczno-taneczne, które kulminują fabułę w sposób momentami wręcz anarchiczny.

To znaczące, że w ostatnich miesiącach teatr sięgnął po dwie najwybitniejsze powieści z okresu amerykańskiego Wielkiego Kryzysu, którego bolesną reminiscencję w dużej mierze właśnie w Europie przeżywamy. W styczniu tego roku Teatr Polski w Bydgoszczy przedstawił *Grona gniewu* w reżyserii Pawła Wodzińskiego, adaptację monumentalnej powieści Johna Steinbecka. Surowe, oszczędne inscenizacyjnie przedstawienie Wodzińskiego podbudowane zostało wyraźnie zaznaczonym politycznym kontekstem, wskazującym na liczne analogie pomiędzy genezą sytuacji Amerykanów w latach 30. ubiegłego wieku a tragedią współczesnych uchodźców i imigrantów. Gdańska adaptacja *Czyż nie dobją się koni?* pozbawiona jest tak radykalnego zaznaczenia politycznych konotacji, choć zawarty w niej obraz rzeczywistości sam w sobie ma kształt skrajnie radykalny. Najnowsze przedstawienie Teatru Wybrzeże mówi przede wszystkim o egzystencjalnym zamknięciu i towarzyszącej mu przemocy – emocjonalnej, społecznej, ekonomicznej, seksualnej. Ten temat punktują tu przede wszystkim świetnie konstruowane bohaterów drugoplanowych, które u Kościelniaka budują właściwie niemal całą rzeczywistość sceniczną, a poruszająco prowadzą je Magdalena Boć, Justyna Bartoszewicz, Katarzyna Kaźmierczak, Jacek Labijak, Piotr Chys i Marcin Miodek. Główni bohaterowie przedstawienia, bardzo dobrze zagrani przez Piotra Witkowskiego i Katarzynę Dalek, stanowią tu jakby wypadkową wszystkich innych rodzajów istnienia – lunatycznego, zrezygnowanego trwania i rozpaczliwego, konwulsyjnego miotania się. Grozę przedstawionej rzeczywistości potęgują karnawałowe figury oprawców, konferansjera, sędziego i pomysłodawcy zawodów, których znakomicie zagrali Grzegorz Gzyl, Jarosław Tyrąński i Krzysztof Matuszewski. Chociaż „etiudyczne” fragmenty z udziałem dwóch pierwszych aktorów, same w sobie błyskotliwe i efektowne, uważam za niepotrzebne i rozbijające rytm drugiej części spektaklu.

W materię swojego przedstawienia Wojciech Kościelniak wplótł fragmenty poematu *Złowiony* Tadeusza Różewicza. Użycie (lecz nie nadużycie) tego tekstu tutaj powoduje, że na organizujący ten świat *danse macabre* patrzymy z jeszcze większym przerażeniem. A na finałowy, śmiertelny strzał – z poczuciem dziwnej ulgi.

8-04-2016

### GALERIA ZDJĘĆ

#### CZYŻ NIE DOBJĄ SIĘ KONI?, REZ. WOJCIECH KOŚCIELNIAK, TEATR WYBRZEŻE W GDAŃSKU

ZOBACZ WIĘCEJ [→](#)

Teatr Wybrzeże w Gdańsku

#### *Czyż nie dobją się koni?*

na motywach powieści Horace'a McCoya

przekład: Zofia Zinserling

adaptacja i reżyseria: Wojciech Kościelniak

scenografia: Damian Styryna

animacje: Eliasz Styryna

kostiumy: Bożena Ślęga

muzyka: Piotr Dziubek

ruch sceniczny: Jarosław Stańki

obsada: Justyna Bartoszewicz, Magdalena Boć, Katarzyna Dalek, Marta Herman, Katarzyna Kaźmierczak, Joanna Kref-Baka, Maria Mielnikow-Krawczyk, Małgorzata Oracz, Piotr Chys, Jerzy Gorzko, Grzegorz Gzyl, Mirosław Krawczyk, Jacek Labijak, Piotr Łukawski, Krzysztof Matuszewski, Marcin Miodek, Jarosław Tyrąński, Piotr Witkowski, Malwina Grzybowska, Natalia Łągiewicz, Hanna Wawrzyniak, Joanna Zóraw, Maciej Glaza, Ralph Kamiński, Chrystian Talik

premiery: 2.04.2016

TAGI: [Wojciech Kościelniak](#), [Horace McCoy](#), [Gdańsk](#), [Teatr Wybrzeże](#), [f](#) [Udostępnij](#)

### SKOMENTUJ

Autor

lub zaloguj się

Treść komentarza

**Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem**, wpisz wynik działania:dwa plus trzy jako liczbę: 

KOMENTARZE ( 0 )